

DZIŚ
W NUMERZE:

EUGENIUSZ IWANICKI O LUDZIACH PRODUKUJĄCYCH CZĘŚCI DO SAMOCHODÓW ■
BOGDA MADEJ O ODZIEŻY SPORTOWEJ ■ MIROŚLAW KUŹNIAK O ROBOTNIKU-POECIE.
■ WIERSZE: WANDY KARCZEWSKIEJ I DOROTY CHRÓSCIELEWSKIEJ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ■ KŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XXI NR 5 (1051)
29 STYCZNIA 1978 R.
CENA 3 ZŁ

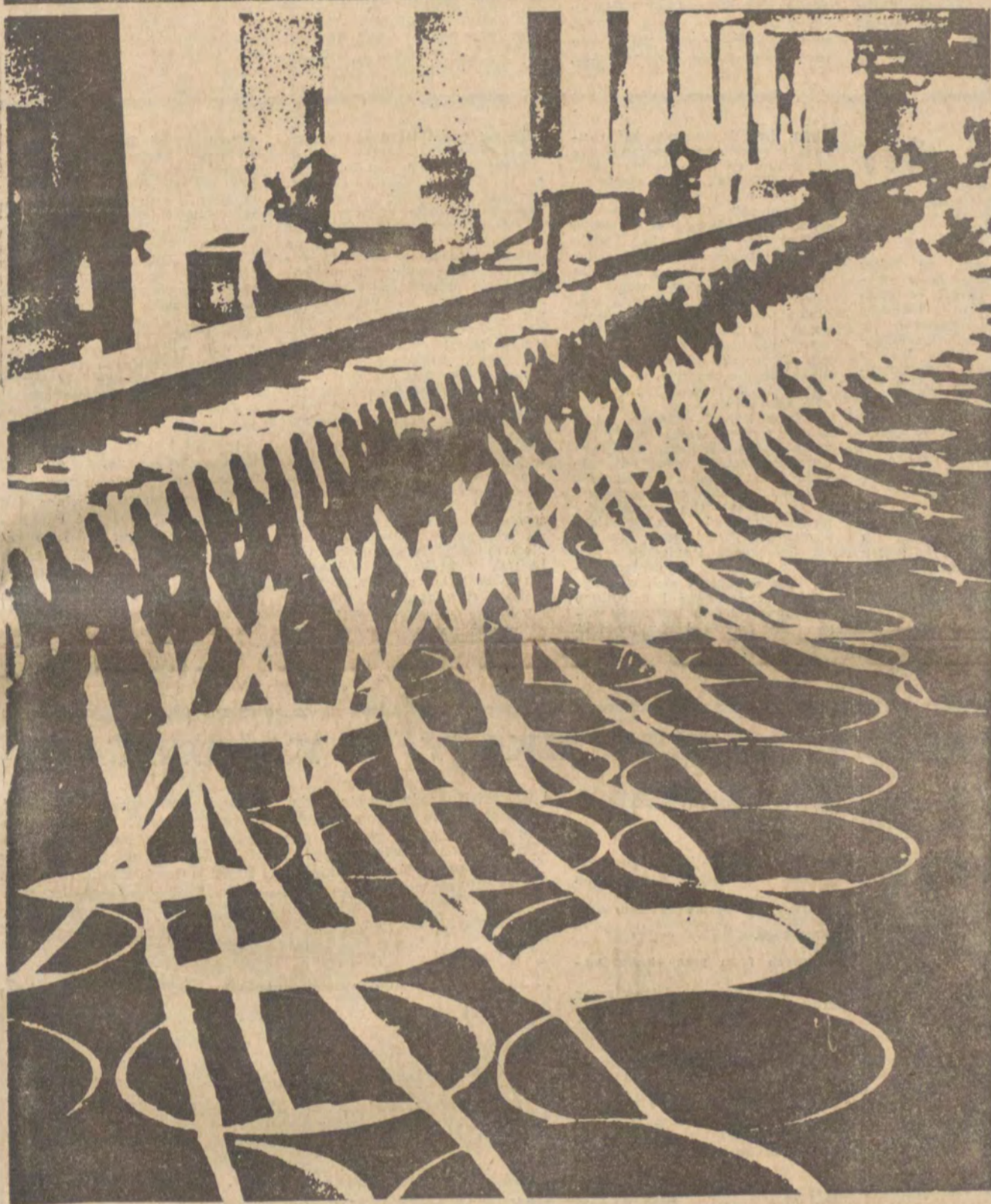


Foto: W. Parys

Mirosław Kuźniak

PIĘTNO

Tadeuszowi Szewerze poświęcam

1.

— Zatrzymali mnie przy tkalni, stanęli wokół, a jeden z nich powiedział: „Te, poeta, nie masz już o czym pisać? Czepiasz się pijaków? A sam kielicha nie lubisz trzepnąć? Patrzenie go, święty!” Z ust tak mu gorzała załatywala, że musiałem głowę odwrócić. Święty — nie święty, kto by tam zresztą nie lubił kielicha wypić, ale w pracy — nigdy. Tego zaś, który w kółku najbardziej gardłował nie od dzisiaj znałem, pijus i bumelant. Odwróciłem się na pięcie — łokciem kółko rozerwałem i bez słowa poszedłem do siebie, to znaczy do magazynu. O czym miałem z nim gadać? Jest przecież takie przysłowie: uderzyć w stół, a nożyce się odezwą, prawda? A taki tam jeden — z mojej brygady — to też się obraził.

2.

W dziale kadr Zakładów Przemysłu Bawełnianego imienia Juliana Marchlewskiego znalazłem akta osobowe Jana Zytkiewicza, robotnika magazynowego. To, co z nich wyczytałem, potwierdziło mi obraz człowieka spokojnego, pracowitego — jaki zapamiętałem z naszych poprzednich spotkań.

Spośród kilkudziesięciu załóg tej fabryki Jan Zytkiewicz nie wyróżnia się niczym szczególnym. Nawet jego umiowanie strażackiego munduru — jest członkiem OSP od wielu lat — mieści się doskonale w modelu dobrego robotnika, troszczącego się o całość fabryki. A jednak mam wątpliwość, czy jest to obraz całkowicie prawdziwy. Nie kwestionuję tu oczywiście robotniczego pochodzenia, ani — tym bardziej — zasług zawodowych, ale wydawało mi się, że w życiorysie spisany przez Jana Zytkiewicza zabrakło ważnych faktów.

3.

— Najpierw do Łodzi sprowadzili się moi dziadkowie ze strony matki — mówi Jan Zytkiewicz. — Witold Zaleski był stolarzem, ale nie wiem, w której fabryce pracował. Babka Anna nie pracowała, wychowywała siedmioro dzieci

w domu. Pracowite mieli życie, ale i nieciekawe. A pan pewnie ciekaw jakichś niezwykłości, co? Trochę ciekawsze były losy dziadków ze strony ojca, Jan i Katarzyna Zytkiewiczowie mieli niewielką ochotę na sprowadzanie się do miasta, woleli małe poddółskie miasteczko. Najpierw gdzieś tam pod Łodzią gospodarzyli, ale niezbyt im to wychodziło. Bo szybko pozbyli się gruntu. Za pieniądze uzyskane ze sprzedaży ziemi kupili knajpkę, no dzisiaj szesnaście powiedzmy restaurację. Zapelnili sobie nie wyobrażam tych restauracji sprzed siedemdziesięciu laty. A pan? Knajpa była, a fakcie, z wyszynkiem. No, wie pan, z gorzala i piwem.

Stało się to przyczyną śmierci mojej babki, Anny. Któregoś wieczoru zebrało się w knajpie sporo ludzi, był dzień targowy, chłopcy opijali udane zakupy. Dziadek stał za szynkwasmem, babka roznosiła jadalę i nabiłki między stółkami. A była z niej kobieta ostra w obciachu i w języku. Co tam dla niej znacząco pijanego za drzwi wyrzucić, albo w pysk wyróżnić zuchwałca, co lał z łapa pod kiełce. Natomiast dziadek, spokojniejszej natury, do awantur się nie

Dalszy ciąg na str. 6

Tadeusz Błażejewski

PRZYGODY FAUSTA

I
Porządkowanie literatury współczesnej, czy — ściślej powiadając — bieżącej produkcji literackiej dokonuje się najczęściej i najszybciej zarazem przy pomocy recenzji poszczególnych utworów. Recenzenci niezbyt chętnie na ogół odrywają się od konkretnej powieści lub tomiku wierszy w stronę uwag o charakterze ogólnym,

niezależnym, w stronę refleksji ogarniającej aktualne tendencje rozwojowe czy choćby tylko charakterystyczną problematykę. Wynika to po trochu z coraz szybszego rytmu życia literackiego, w którym zwolennicy syntezy ulegają zdecydowanie analitykom. Nie bez znaczenia jest również fakt, że krytyka literacka dzisiaj okazuje się kochanką może i intrygującą, ale nie gwarantującą swym wielbicielom utrzymania. Są to okoliczności niebłahе, ale w stosunku do podstawowej funkcji krytyki literackiej i zwykłych czytelniczych potrzeb zewnętrznych. Jeśli zaś chodzi o wewnętrzne zależności — to wydaje się, że taką mamy krytykę na jaką pozwala właśnie literatura piękna. Jest tedy nasza współczesna krytyka nade wszystko krytyką towarzyszącą. Aktualny (myślę o ostatnich dwóch, trzech latach) stan powieści w Polsce pozwala właściwie na dość wygodne dla krytyka towarzyszenie i komentowanie (jakkolwiek na postulat w literaturze zawsze miejsce i pora).

Przyjmijmy — z pewnym, rzecz jasna, uproszczeniem — że obecna sytuacja literacka jest wypadkową dwu zmiernych w różnych kierunkach sposobów traktowania twórczości literackiej: dążności do jej autonomizacji oraz utrzymywania społecznego utylitaryzmu. Opozycja to nie nowa i dialektycznie zmienna, zależna w niemalym stopniu od czynników pozaliterackich. Jak wyraża się ona w powieści? Normalnie, to znaczy w pierwszym rzędzie opozycją bohaterów literackich — z jednej strony pojawia się arystokrata ducha, artysta, pisarz ze swymi bolączkami, z drugiej występuje wzorzec najbardziej przydatny w urzędywianiu tematu pracy: inżynier wraz ze swym kolektywem.

Odejźmy jednak od tego schematu i potraktujmy rzecz bardziej uniwersalnie, pytając o stosunek współczesnej powieści do rzeczywistości, a ściślej biorąc: o to, w jaki sposób i w jakiej mierze rzeczywistość tę powieść rozpoznaje. Nie chodzi przy tym o powierzchowny i banalny interwencjonizm, którego, niestety, do tej pory literatura nasza — mimo wiadomych doświadczeń — wyrzycić się nie może. Idzie raczej o rolę literatury we współczesnym życiu umysłowym, o określenie jej funkcji.

II

Złośliwa uwaga Henryka Sienkiewicza o artystach młodopolskich — że są wpatrzeni jak Budda we własny peppek — zawierająca znaczną dozę słuszności, bo ich urojone przeważnie

tragedie niemości twórczej bądź erozycznej wynikały po prostu z neurostenicznej atmosfery fin de siecle'u. Artystę współczesnego interesuje inna sprawa — rozpoznawanie złożoności świata w najrozmaitszych jego przejawach. Wskutek czego niejedną pracownia literacka przypomina dziś naukowe laboratorium umieszczone w „wysoko sklepionej, ciśnień i tężni fizycznej” niejakiego Fausta. Któż bowiem nie pamięta słynnego monologu rozpoczynającego „tragedię czwartą” Johanna Wolfganga Goetha-go:

Przestudiowałem wszystkie fakultety, Ach, filozofie, medycynie, prawo i w teologii też, niestety,

Do dna samego wgrzęzł się pracą krwawą — I jak ten głupiec u mądrości wrót Stoje — i tyle wiem, com wiedział wprzód (!) Może tajemnie jakich się dostucham,

Dalszy ciąg na str. 5

„POLMO”

RÓWNA DO NAJLEPSZYCH

1.

Fabryka Osprzętu Samochodowego „Polmo” w Łodzi powstała w wyniku połączenia kilku fabryk i firm założonych jeszcze w ubiegłym wieku...

2.

FOS „Polmo” jest jedynym producentem w kraju gaźników i pomp paliwowych do wszystkich samochodów osobowych i ciężarowych...

3.

Innych asortymentów. Ale ilość to jeszcze nie wszystko. Jakość wyrobów zajmuje czołowe miejsce w naszej produkcji...

Istotne znaczenie dla całokształtu pracy FOS „Polmo” ma zaplecze badawcze. Z myślą o jego rozwoju w niedługim czasie stanowiąc nowy budynek...

5.

FOS „Polmo” posiada własną Zasadniczą Szkołę Zawodową kształcąca frezzerów, monterów samochodowych, monterów układów zasilania...

6.

O pracy każdego zakładu decyduje jego załoga. Jeśli w rozmowie słyszy się „nasza fabryka”, „u nas w fabryce” oznacza to, że ludzie ci zrozumieli...

7.

Inż. Jerzy Kujawa, pokazując mi przesuwanie się taśmy montażowej pomp paliwowych, powiedział, że „Polmo” bierze całkowitą odpowiedzialność za swoje wyroby...

Wydawać by się mogło, że skoro osiągnięto tak wysoką jakość wyrobów, to powinno się zatrzymać na tym poziomie i ewentualnie zacząć rozwijać nowe asortymenty części samochodowych...

Wspomniałem o ciągłej modernizacji zakładu, o zakupie nowych maszyn. Aby je ustawić, trzeba usunąć maszyny stare (stare ze względu na ich konstrukcję) ale sprawne i mogące służyć jeszcze przez wiele lat...

W „Polmo” od wielu lat obowiązują plany poprawy stanu estetycznego i socjalno-bytowego. Każdorazowo taki plan jest zatwierdzany na KSR wraz z planami produkcji, co świadczy o tym, że oba te plany, choć tak różne, stanowią przeciwieństwo nieodłączną całość...

W planach, zatwierdzonych na KSR, znajdują się inne, nie mniej naglące potrzeby. Jest pilną koniecznością reorganizacja transportu wewnętrznego (zwiększenie wozków przynajmniej o 34, budowa bazy transportu wewnątrzzakładowego)...

8.

Fabryka Osprzętu Samochodowego „Polmo” chcąc nadążyć za rozwojem motoryzacji musi nie tylko modernizować swój park maszynowy, dbać o jakość wyrobów, ale musi przede wszystkim powiększyć i wprowadzać coraz to nowe asortymenty części do pojazdów mechanicznych...

W wyniku działań technicznych została osiągnięta obniżka pracochłonności o 180 tys. godzin i oszczędzi się dla gospodarki narodowej 210 ton stali oraz 40 ton materiałów kolorowych...

Gdy dojechali, dziecko było znowu poważnie chore. W trzy dni później zmarło. Przez pierwsze lata po wyzwoleniu Jan Zytkiewicz pracował jako robotnik w spółdzielczości...

Tylko chciał wesoła... Hej, koleś, koleś! Wydał mi się, że miał tego głowę. Zawojował światła. Prawie że połowe...

produkcji dwugniazdowej formy do odlewu korpusu sprężarek, co dało 195 tys. zł oszczędności... Złoty Knap — konstruktor pomocy warsztatowych w dziale głównego technologa — pracuje od 1948 roku...

NA ZACHÓD OD ŁĄBY

Niemcy z RFN bardzo nad tym ubolewają, że ich nigdzie w Europie się nie kocha. Redaktor naczelny hamburskiego tygodnika „Die Zeit” uskarża się na łamach amerykańskiego „Newsweek”, że po starym koutynencie wciąż jeszcze krają widmo „of the ugly German”, wstrętnego Niemca. Bardzo boli obywateli Bundesrepublik, że wytyka się im wychowanie i niepojęte skąpstwo. Gdy do jakiejś restauracji w Paryżu wdiera się horda rozwrzeszczanych na cały głos turystów, wszyscy od razu domyślają się, że to Les Allemands. To Niemcy, którzy wnet ruszą szturmem przed siebie i obsadzą w sali najlepsze stoliki.

I z miejsca wrzasa na kelnera by przyszedł z jednym „dortmunderem”.

Potem zagłębia się w milczące i nadeje studiowanie menu. Tacy już oni są. Wiadomo, u Niemca nawet mucha się nie pożywi.

W rzeczy samej, restauratorzy i hotelarze nabrali w krajach na zachód od Renu zdecydowanej niechęci do Nadreńców. Mówiono niegdyś, że to Szkodzianie raz za razem wyobraża, nim raz go wyda. Kudy jednak Szkodom do Niemców. To są dopiero duszograsy. Turystyczni specje wyliczyli, że jeden turystyczny Amerykanin wydał w zeszłym roku we Francji 350 dolarów, Szwajcar — 200, Brytyjczyk — 180, a Niemiec z Bundesrepublik 160 dolarów.

Czy nie jest to obrzajające?

Tacy bogaci, a jacy nieuczciwi.

Widocznie jednak skąpy a cheiwy jedną drogą chadza. Istotnie, nawet przez miedzę, zatem w Austrii, zaczyna się krzywym okiem spoglądać na językowych pobratymców z północy. Ach ci Westfalcy, leżą na markach, przetwarzają tych miliardów nie mogą, a wciąż im mało i mało. Turystyczni specje wyliczyli, że jeden turystyczny Amerykanin wydał w Austrii w zeszłym roku w ciągu jednego dnia 55 dolarów, Brytyjczyk 15, Szwed 43, Francuz 40, a Niemiec wydał wszystkiego 32 dolary.

To chyba prawda, że skąpy nie po to liczy pieniądze, żeby wydać, tylko po to liczy, żeby schować. W północznej Niemcy bronią się przed tymi zarzutami, jak tylko mogą. Argumentują, Owszem, bywają turysty co wywożą z Hamburga do Grenoblu kufer pełen suszonych kiełbas. To prawda, że w namaszczeniu i w grubokiej cieszki restauracyjnej menu, nim zamówią jeden omelet i jedną colę. Istotnie, czasem wdają się z kelnerami w żałosne spory o wysokość rachunku. Czy jednak Niemcy mogą postępować inaczej? Przecież wszyscy jakby się zwołali, żeby z Niemców żywcem lупить skórę.

Jak tylko jeden z drugim usłyszysz niemiecką mowę, to na głowie zaraz staje, żeby porządnie bürgera z Kolonii nablić możliwie głęboko w butelkę sfalszowanego szampana.

We Włoszech szachrują jak na arabskim bazarze.

We Francji kantują na czym się da. I nigdzie się tam nie można ruszyć bez solidnego napiwku.

Wiele Niemcy się bronią, muszą się bronić. Powoli przeobrażają się w „Ingenieure der Sparsamkeit” — w inżynierów oszczędności szafowania groszem. Wybierają z prospektów najtańsze połączenia najtańszymi środkami lokomocji. Wyszukują z beuderów najtańsze restauracje i najtańsze hotele. Udają się do najtańszych miast w możliwie najtańszych krajach. Muszą. Bo inaczej już dawno by poszli z torbami. Tak argumentują Niemcy. Ale Francuzi mrużą znacząco oko. Kto chce, niech wierzy. Skąpiec do odmowy ma zawsze wykręt gotowy.

Zachodniemiecki tygodnik „Der Spiegel” rozpisal niedawno wśród Francuzów ankietę, która zawierała jedno tylko pytanie: — Gdy pan słyszy słowo Niemcy, z czym to słowo panu się natychmiast kojarzy?

Oto krótki wybór najbardziej typowych odpowiedzi:

— Myśle od razu o wojnie i k-matoriach.
— To kraj bogaty, ich marka jest wszczępota.
— Trzeba oglądać Niemców w wczasach. Zachowują się wtedy jak królowie.
— Romantyzm, muzyka, już czwarta generacja „BMW” i piłka nożna w najlepszym wydaniu.
— Wagner, teatr Brechta i mord na Róży Luksemburg.
— Terroryzm, Hitler, kanclerz Schmidt, Baader, woda kolońska i Goethe.

— Złe bardzo wspomnienia z szesnastomiesięcznej służby wojskowej na terenie RFN.
— Heidelberg, piwo, hierarchia dysejplina i halte Schauze, czyli stul morde.

JAN BABIŃSKI

Po upadku chadeckiego, mniejszościowego rządu Giulio Andreottiego, prezydent Leone powierzył b. premierowi misję utworzenia nowego gabinetu rządowego. Andreotti musi sobie zapewnić współpracę Włoskiej Partii Komunistycznej i Partii Socjalistycznej, gdyż bez ich udziału nie może być mowy o trwałości nowego rządu. WPK domaga się bezpośredniego udziału w nowo formowanym rządzie i postulat ten popiera szerokim frontem włoska opinia publiczna.

Mediolański dziennik „Corriere della Sera” zamieścił wywiad, jakiego udzielił korespondentowi tej gazety Przewodniczący Włoskiej Partii Komunistycznej, Luigi Longo. Oto główne fragmenty tego wywiadu.

— Jak widzieliście politykę partii komunistycznej sprzed trzydziestu lat i jak oceniacie ją teraz?
Musielibyśmy rozwiązać bardzo złożone problemy powojennej odbudowy, trzeba było tchnąć życie w nowy system polityczny i społeczny. Dokonaliśmy wtedy wyboru na korzyść polityki jedności narodowej. Był to kurs, który już wcielaliśmy w życie w okresie Ruchu Oporu, to znaczy kurs na wspólną walkę wszystkich sił politycznych i społecznych przeciwko faszyzmowi i niemieckim okupantom.

— Ogólnie rzecz biorąc, nierewolucyjny kurs?
— W owych latach nie zamierzaliśmy walczyć o natychmiastową rewolucję społeczną. Walczyliśmy tylko o szeroką społeczną odnowę. I sądzę, że nie będę nieskromny, ani prywatnie, ani jako członek partii, jeśli powiem, iż osiągnięte wyniki świadczą o trafności tego wyboru.

— Trzydzieści lat temu wielu ludzi oskarżało WPK o dwuznaczność: z jednej strony oficjalne oświadczenia przywódców, aprobujące zasady gry demokratycznej, a z drugiej strony — przepelnieni jeszcze rewolucyjnym uniesieniem szeregowi członkowie partii. Na czym polegała ta „dwoistość” komunistów?

— Jeśli nawet i popełniliśmy błąd, to polegał on na tym, że utożsamialiśmy taktykę ze strategią. Byliśmy optymistycznie nastrojeni, myśleliśmy tylko o najbliższej przyszłości, a taki pogląd na sytuację stwarzał naszym przeciwnikom podstawy, przede wszystkim partii chrześcijańsko-demokratycznej, do dyskredytowania naszej pozycji. Oskarżali oni nas o dążenie do narzucenia naszej hegemonii. To oskarżenie o dwoistość było bezpodstawne, wypaczało naszą politykę i nasze realne zamierzenia.

— Jak oceniacie terroryzm?
— Zawsze uważaliśmy, że należy prowadzić pracę wśród mas. Terroryzm zaprzecza tej linii i za iluzję należy uznać pogląd, iż może on doprowadzić do efektywnych działań rewolucyjnych.

— Czym jest dla was, towarzyszu, Związek Radziecki?

— Lubię ten kraj. Tam uczyli się podczas wojny moi dwaj synowie: jeden został fizykiem — specjalistą atomowym i obecnie jest wykładowcą na uniwersytecie w Bolonii, drugi jest ekonomistą.

— Teraz tyle mówi się o eurokomunizmie; podoba się wam to określenie?
— Jak już nie raz mówiłem, nie podoba mi się ta formuła. Nie wymyśliła jej WPK. To dziennikarska

formuła, bardzo ogólnikowa i wypacza jego istotę rzeczy.

— Dlaczego wam się nie podoba „Eurokomunizm” nie istnieje jako czynnik organizacyjny, a jeśli by istniał, to ograniczałby niezależność poszczególnych partii. Chodzi tu o zbankrutowaną formułę.

— Przywódca hiszpańskich komunistów, Carrillo, odrzuca leninizm. WPK jest nadal marksistowską i leninowską partią, mimo że ten i ów pragnąłby odrzucić leninizm. Co o tym sądzicie? Czy WPK powinna zachować leninowski charakter?

— Uważam, że tak. Rewolucja w Rosji jest najwznioślejszym dokonaniem, nie w słowach a w czynię, będącym, co by o tym nie powiedziano, wiodącą siłą nie tylko dla Związku Radzieckiego, lecz dla całego świata. Łatwo sobie wyobrazić, co by było, gdyby na świecie nie było tej wielkiej ekonomicznej, politycznej, wojskowej i ideologicznej siły.

— Jak oceniacie obecną sytuację polityczną we Włoszech? Czy partia chrześcijańsko-demokratyczna spełniła żądanie komunistów utworzenia nowego rządu solidarności narodowej?

WŁOCHY WYWIAD LUIGI LONGO

— Sądzę, że ten cel powinien być osiągnięty, ale nie w najbliższej przyszłości, właśnie z powodu opozycji PDC (Partii Demokracji Chrześcijańskiej — red.), która dąży do zachowania swego monopolu władzy. Jednakże fakt zaostrożenia się kryzysu potwierdza konieczność ruchu do przodu nie w słowach, lecz w czynach i podjęcia decyzji, do których zobowiązała się PDC i pozostających pięć partii, podpisując porozumienie programowe. Najbardziej negatywnym aspektem tej sytuacji jest to, iż porozumienie programowe istnieje, ale partia chrześcijańsko-demokratyczna nie wywiązuje się z zobowiązań.

— To znaczy, że cała sprawa polega na wywiązaniu się z zobowiązań?
— Żeby konkretnie wywiązywać się z zobowiązań tego porozumienia potrzebny jest udział możliwie najszerszych sił, konieczność poparcia mas narodowych. Na tym polegała rozbieżność z PDC, która podpisała zobowiązanie programowe, a teraz ich nie wykonuje. Oto dlaczego żądamy zmiany składu rządu.

— A jeżeli PDC zajmie bardziej twarde stanowisko? Czy nie wyłoni się niebezpieczeństwo przedterminowych wyborów?
— Wybory nie przerażają nas. Ale są dla nas niepożądane dlatego, że paraliżują polityczne życie kraju, przeszkadzają w omawianiu ważnych decyzji w parlamencie. Oznaczałoby to odłożenie tych decyzji, które my uważamy za niecierpiące zwłoki. Ale niech nikt nie myśli, że może nas przstraszyć mówiąc o przedterminowych wyborach.

— To wy zaproponowaliście kan-

dydaturę Berlinguera, najpierw w charakterze przywódcy Włoskiej Komunistycznej Federacji Młodzieży, a następnie w charakterze waszego następcy na stanowisku sekretarza partii. Jakiego zdania jesteście o Berlinguerze?

— To poważny, wykształcony towarzysz, który zajmuje się pogłębionym opracowywaniem problemów. Być może powinien się częściej uśmiechać. Ale taki sam zarzut wysuwano i pod moim adresem, zaraz po zakończeniu wojny. Italo Petra napisał nawet artykuł pod tytułem: „Widziałem jak uśmiecha się Longo”. — Czy wśród chrześcijańskich demokratów jest jakiś, który by wzbudził w was mniej nieufności niż inni?

— Jestem z pochodzenia chłopem, a chłop są z natury nieufni. Nie widzę większych różnic między chrześcijańskimi demokratami. — Kiedy Berlinguer zaproponował formułę historycznego kompromisu, wyraziłście filologicznie i politycznie sprzeciw. Nie podobało wam się słowo „kompromis”. Zmieniłście zdanie?

— Nasza linia była zawsze ukierunkowana na stworzenie bloku wszystkich sił, które by mogły wystąpić z poparciem polityki odnowy i postępu. Jednakże określenie tej linii jako „historycznego kompromisu” może doprowadzić do dwuznaczności, do pomieszenia taktyki ze strategią.

— Czy obecny kryzys ma jakieś wspólne cechy z kryzysem sprzed trzydziestu lat?

— Przed wszystkim za obecny kryzys całą odpowiedzialność ponosi PDC. Trzydzieści lat temu zadanie polegało na odbudowaniu kraju, a teraz zachodzi konieczność całkowitego uzdrowienia ekonomiki, zaproponowania nowych idealów. Nadzwyczajna sytuacja istnieje, tego nikt nie może negować. Ale nie ma takiej siły politycznej, nie ma takiego kryzysu społecznego, które samoistnie mogłyby urzeczywistnić nową „rekonstrukcję”. W każdym wypadku jest konieczna interwencja, rozstrzygający udział mas pracujących oraz ich politycznych i związkowych organizacji w kierowaniu krajem, żeby znów uchwylić, choćby nawet w niezwykle złożonych warunkach, kruchą, ale nie zerwaną nić nadziei, istniejących trzydzieści lat temu.

— To znaczy, że jesteście nastrojeni optymistycznie?
— Być może wydam wam się powierzchowny, ale zawsze, nawet w najtrudniejszych chwilach, byłem pełen wiary w ruch robotniczy i w mądrość partii: w końcu wszystko będzie dobrze.

Opr. JERZY CZECH

(C)

POWAŻNY KRZYŻYŚ PRZERWANIE NEGOCJACJI KONFLIKT GRANICZNY

I stało się, jak można było oczekiwać. Rząd Andreottiego podał się do dymisji, a prezydent Leone ponownie desygnował go na premiera Włoch. W chwili, gdy oddajemy komentarz do druku, Andreotti przygotowuje się do konsultacji z przywódcami innych partii włoskich, mając już za sobą spotkanie z kierownictwem partii — Demokracji Chrześcijańskiej. Na spotkaniu tym dyskutowano strategię negocjacji, stającą na stanowisku niedopuszczenia komunistów do udziału w rządzie. Może to doprowadzić do głębokiego impasu we włoskim życiu politycznym.

Mniejszościowy rząd chadecki korzystał dotychczas w parlamencie z biernego poparcia komunistów, którzy w ostatnich wyborach otrzymali tylko o 4 proc. głosów mniej, niż chadecja (34 proc., wobec 38 proc.). Praktycznie oznaczało to, że deputowani WPK wstrzymywali się od głosu wówczas, gdy ich „nie” mogłoby zagrozić upadkiem gabinetu. Teraz jednakże — podobnie, jak socjaliści i inne, mniejsze partie — odmówili dalszego podtrzymywania rządu, domagając się nadania mu charakteru gabinetu jedności narodowej. Ta zmiana stanowiska podjęta została

faktem, że dotychczasowy gabinet nie był w stanie wyprowadzić Włoch z ciężkiego kryzysu strukturalnego, który od lat objął niemal wszystkie dziedziiny życia. Wykorzystują to siły ekstremistyczne — skrajnej prawicy i skrajnej lewicy — pchając kraj na drogę anarchii. Ostatnio, co więcej, w Rzymie i innych miastach między tymi skrajnymi ugrupowaniami doszło do krwawych starć i nastąpiło zagrożenie bezpieczeństwa publicznego. Konieczność energicznego działania stała się oczywistą, a mniejszościowy gabinet nie mógł podjąć sytuacji.

U progu obecnego kryzysu rządowego doszło do jawnej ingerencji USA w życie polityczne Włoch. Pisałmy o tym przed tygodniem, ale przypomnijmy teraz, że Waszyngton ostrzegł przed ewentualnością udziału komunistów w rządzie we Włoszech i — przy okazji — w innych krajach zachodnich. Stąd pewnie i stanowisko chadecki, wspomniane na wstępie. (Na marginesie — jak to się ma do zobowiązań także Stanów Zjednoczonych, podpisanych w Helsinkach, o nieingerencji w sprawy wewnętrzne krajów europejskich!). Obecny kryzys rządowy we Wło-

zech nie jest po prostu jeszcze jednym na długiej już ich liście w powojennych dziejach kraju. Jest poważniejszym z dotychczasowych i być może zakończy się przyspieszeniem wyborów parlamentarnych.

Zmieniamy teraz temat i przenosimy się na Bliski Wschód, aby nawiązać do przerwania przez prezydenta Sadata negocjacji z delegacją izraelską w Jeruzolimie. Bezosłownym powodem takiego kroku stały się wypowiedzi izraelskiego premiera Begin i ministra Dajana, którzy dali jednoznacznie do zrozumienia, że trwały pokój na Bliskim Wschodzie wiąże z rozszerzeniem granic Izraela w stosunku do stanu sprzed 5 czerwca 1967 roku i nie dzieleniem Jeruzolimy.

Separatystyczne, dwustronne rozmowy znalazły się w impasie. Nie przesądziła, co stanie się dalej (na pewno łagodniej sytuację będą Stany Zjednoczone) zastanówmy się nad dotychczasowym „bilansem” bezpośrednich kontaktów Egipt — Izrael. Dzięki Sadatowi Izrael wyprowadzony został z izolacji, a świat arabski został podzielony. I jedno i drugie jest na ręce Tel Awiwowi. Co zaś zyskał Kair? Nic. Nie jest więc wykluczone, że Sadat wykorzystał wypowiedzi izraelskich przywódców, aby zerwaniem rozmów wymóc na nich ustępstwa. Jeśli bowiem braknie płaszczyzny do dalszych negocjacji — surowa ocena jego samowolnych działań rozciągnie się również na te kraje arabskie, które pozostały mu życzliwe. Stawka jest więc wysoka.

W tym miejscu trzeba przypomnieć, że droga do rozwiązania blisko-wschodniego problemu może prowadzić tylko przez wznowienie prac konferencji genezyjskiej, gdyż tylko tam można sprawę omawiać i rozstrzygać kompleksowo.

I temat ostatni dzisiejszego przeglądu wydarzeń — sytuacja na Półwyspie Indochińskim.

Od pewnego czasu agencje znów okazują zainteresowanie tym rejonem świata. Powodem tego jest konflikt graniczny wietnamsko-kambodżański, który objawia się w starciach zbrojnych. Mimo wielokrotnych propozycji Hanoi, aby sporne kwestie dyskutować przy okrągłym stole, władze kambodżańskie nie podjęły inicjatywy, a ostatnio dopuściły się przemocy, naruszając integralność terytorialną Wietnamu. Tak więc próbuje się poróżnić narody, które przecież jeszcze nie tak dawno wspólnie walczyły przeciwko interwencyjnemu oddziałom amerykańskim.

Kto może być zainteresowany takim rozwojem wydarzeń — wyjaśnią hanoijski dziennik „Nhan Dan”, pisząc: „Międzynarodowe siły imperializmu i reakcji... snują własne plany w stosunku do Azji Południowo-Wschodniej”. Wojujnicze poczynania Kambodży mogą być inspirowane jedynie przez tych, którzy chcą utrzymać w stan napięcia w stosunkach między państwami.

W. ŚLAWSKI

ZIMA

W centralnej Polsce zimą mamy nie najlepszą. Mroźno, ale śniegu nie ma znow tak wiele, raczej jego reszki. W górach natomiast — jak nas informuje telewizja — warunki do uprawiania sportów zimowych dobre. Radość z tego ma młodzież, która wyjechała w góry na zimowe ferie oraz ci wszyscy turyści, którzy korzystają z czasów w zimie. Wszyscy oni — i młodzież szkolna i wczasowicze — będą mogli jeździć na nartach i sankach, a — jak dobrze pamiętacie — to może i kulig sobie urządzą.

Trzeba się cieszyć z tego, że ludzie wypoczną, siły do pracy nabiorą, ale mnie interesuje też, co robią nasi sportowcy zajmujący się narciarstwem, saneczkarstwem, skokami narciarskimi. Pamiętam jeszcze przesławne lato, jakie dostaliśmy w łanobroku dwa lata temu. Przypomnę tylko, że zajęliśmy tam 18 miejsc, zdobywając jeden punkt i to dzięki hokeistom, którzy sklasyfikowani byli na szóstym, punktowanym miejscu. Pamiętam również, że po tym latu długo i wyzerpujące dyskutowano o naszych sportowcach od nart, saneczek, łyżew, ogłoszone wiele referatów, odbyły narady i posiedzenia, podjęto uchwały i rezolucje, a nawet przeprowadzono reorganizację. Kilku trenerów odeszło, kilku przyszło. Minęły dwa lata i powinno być widać już pierwsze rezultaty tamtych mądrych rozważań.

Nie na to nie wskazuje, aby tak wiele zmieniło się w klubach zajmujących się sportami zimowymi. Na przykład hokeiści wykazali dobrą formę i powini ja utrzymać do najbliższych rozgrywek w mistrzostwach świata. Za to nasi skoczkowie narciarscy próbowali skakać w Turnieju Czterech Skoczni, ale niczym nie wyróżnili się. Wiele ludzi dziwiło się, po co oni tam pojechali? Zupełnie przypadkowo znalazłam odpowiedź na to pytanie w Katowickim „Sporcie”.

Stanisław Bobak, wyleczywszy kontuzję, przygotowuje się do skoków. Pogodę ma dobrą, mieszka już w Zakopanem. Reporter „Sportu” zapytał nie bez powodu:

— „Dlaczego więc Pan nie trenuje?”

— „Nie mam nart, więc na czym mam skakać?” — odpowiedział po prostu Stanisław Bobak.

Czy potrzeba coś jeszcze do tego do dawać? Wydawałoby się, że nie, ale Stanisław Bobak nadal i okazuje się, że nie tylko można ale trzeba. Otóż Stanisław Bobak powiedział jeszcze:

— „Józef Tajner ma przyjechać ze Szczyrku do Zakopanego i ma mi przywieźć jakieś narty z turnieju 4 skoczni”.

Teraz już wiadomo, po co nasi skoczkowie jeżdżili na Turniej Czterech Skoczni. Ale czy do osiągnięcia dobrych wyników w skokach narciarskich wystarczy „jakieś narty”?

Kiedy Stanisław Bobak dostanie narty od Józefa Tajnera to będzie już mógł skakać? Nie.

— „Nie mam też kombinizonu skokowego — mówi dalej reporterowi „Sportu” Stanisław Bobak. — Krawiec wziął mi miarę, ale akurat dla mnie zabrakło materiału i muszę czekać”.

Za granicę pojechał na przykład mgr Andrzej Roj-Gasienica wraz z Mariolą Michalską i Krystyną Boriko, może więc przy okazji przewiozą materiał na kostium dla Stanisława Bobaka. Z wyjazdem tym też dziwne dzieła się dzieją, bo na przykład nie pojechał trener Mariola Michalskiej, który to dziewczynę odkrył i stale przygotowuje ją do startów.

Mariola Michalska miała kontuzję i operację. W drugiej połowie grudnia 1977 roku ordynator szpitala w Zakopanem, gdzie robiono operację, dał pisemne orzeczenie, że od nowego roku może uprawiać sport wyczynowo. Opinię tę potwierdził lekarz ze Szpitala Chirurgii Urazowej w Plekarach Śląskich, a podpisał ją dr Marian Raganowicz, narciarka badała wielu specjalistów i o ile opinie uzgadniały były z wybitnym specjalistami. Zakwestionował ją natomiast dr Jerzy Moskwa z Centralnej Poradni Sportowo-Lekarskiej, stwierdzając że potrzebne jest dalsze leczenie usprawniające. Dr Jerzy Moskwa sędził się wprawdzie na starty w kraju, a nie godził się na zagranicę.

Mariola Michalska pojechała jednak za granicę po podtrzymań swego orzeczenia przez dr Zygmunta Nowickiego z Zakopanego. Pojechała jednak nie z Pawłem Kolańczykiem, a — jak już wspominałam — trenerem selekcjonerem konkurencji alpejskiej, mgr Andrzejem Roj-Gasienicą, Pawłem Kolańczyk został odsunięty od zawodniczek, które poświęciły swoją wiedzę i czas, która trzykrotnie wyelaż za trudnych sytuacji.

Dziwne rzeczy dzieją się w sportach zimowych. Dziwnie i niezrozumiale. Ale też trudno oczekiwać, aby w takiej atmosferze i przy takich warunkach młodzież pchała się do uprawiania narciarstwa, chciała jeździć na łyżwach i skakać z narciarskich skoczni. Zaczarowane kolo niemożności zostało zamknięte: nie ma sprzętu, nie ma dobrych wyników, nie ma zainteresowania sportami zimowymi, nie ma zainteresowania wśród młodych, nie będzie następców, dla tych, którzy mogliby startować gdyby mieli na czym...

BOGDA MADEJ

EDWARD KOPCZYŃSKI

MIŁOŚĆ I MEDYCyna

Zapalił nocną lampkę i wstał. Na półce biblioteki odnalazł relikwiarz. Połknął dwie pastylki. Znowu usłyszał kaszel. Pomyślał, że powinien mieć gdzieś pod ręką kodeinę. Znalazł po chwili. Przeszedł do hallu i stał przed zamkniętymi drzwiami do pokoju Barbary. Głupia, bo przecież czasu zamyka drzwi jakby na znak nowej sytuacji. Zamyka drzwi, które nie mają klucza, po co ta komedia, po co te gesty. Głupia, bo przecież decyzje zapadły, a on ani myśli coś w ich porozumieniu zmieniać. Gdy wszedł, zobaczył Barbarę w słabym świetle dochodzącym z ulicy, wołałącą na tapczanie, przestraszona jego widokiem. Zirykowany jej reakcją, pomyślał że złością: Chyba nie sądzi, że ją zgwałcił. Podszedł do stoleczka przy tapczanie i położył kodeinę.

— Weź to, jedną lub dwie pastylki. Nie musisz się przecieć mężczyź.

— Nie troszcz się o mnie, dam sobie radę.

Stara piosenka, dam sobie radę. Barbara nigdy się nie zmieniła, niczego się nie nauczyła. Widząc, że na stolczku nie ma nic do picia, zaproponował:

— Zrobię ci herbatę.

— Nie trudź się, nie potrzebuję twojej pomocy.

— Nie podnoś się. Nie śpię i tak, zrobię po prostu dwie herbaty.

Chciała znowu coś powiedzieć, na pewno sprzeciwił się, ale zamieszała się długim kaszlem. Skorzystał z okazji i poszedł do kuchni. Kiedy wrócił, Barbara leżała twarzą do ściany. Postawił herbatę na stolczku i odchodząc dodał:

— A w ogóle z tym kaszlem mogłabyś pójść do lekarza. Nie sądziż?

— Daj mi spokój.

Wzruszył ramionami i wrócił do siebie. Zanim się położył, włączył radio.

Tulał się po kraju w mundurze przysposobienia wojskowego i szukał wraz z innymi podobnymi do siebie broni, by walczyć z wrogiem. Broni nie było. Mając siedemnaście lat patrzył na trupy leżące na drogach, uciekał przed samolotami, które polowały na ludzi, jak na dziką zwierzynę. Pierwszego trupa zobaczył za Nowosolną. Mężczyzna pięćdziesięcioletni, masywnej budowy, leżał na wznak przy wiejskiej drodze, tak jakby przed chwilą zasnął. Marynarka odwinęła się, widać było kamizelkę i łańcuszek od zegarka biegający z kieszeni po stronie lewej na stronę prawą. Pamięta, że zastanawiał się wtedy, czy zegarek, który uwypuklał kieszonkę kamizelki, chodził jeszcze, czy również stanął... Potem trupy stały się częścią krajobrazu, jak drzewa, jak budynki. Po czterech tygodniach tułaczki i poniewierki wrócił do Łodzi w tym samym mundurze, w którym miasto opuścił. Wrócił i któregoś z następnych dni poszedł do swojej szkoły. Brakowało kolegów, brakowało profesorów. Nie wrócili z wojny. Ci, którzy w szkole byli, patrzyli na siebie zaklopotani, jakby obecność tutaj ich samych dziwiła, a może nawet żenowała. Zaraz potem zobaczył coś, co nawet w warunkach wojny było niezwykle, zobaczył szubienicę...

Postawili ją na Bałuckim Rynku jakieś piętnaście metrów od Bigła, bliżej Zgierskiej, w dobrym punkcie, najlepszych dla reklamy. Reklary malowano wtedy wszędzie, najchętniej na tyłach kamienie widocznych z ulicy, łatwo dostrzegalnych. Duże, kilkunastometrowe napisy, na przykład „Radion sam pierze”, „Kupuj tylko mydło Schichta”. Szubienica nie była wielka, ale chyba przepiękna, na żelaznych stojakach, z żelazną poręczką. Solidny materiał gwarantował jej trwałość. Postawili ją w nocy, może nad ranem...

Wisiła czterech mężczyzn, w równych odstępach. Mężczyzna przy prawym słupku wrował na cienkiej linie, obracał się wokół osi szybciej niż trzej pozostali na pewno dlatego że miał na sobie marynarkę. W słabym wietrze spełniała rolę żaga Wisłoni niezbyt wysoko, ale chyba tak jak potrzebna. Nikt nie poddawał w wątpliwość prawidłowo wykonanej roboty, stopy mieli o sześćdziesiąt siedemdziesiąt centymetrów od kamieni bruku, blisko ziemi, z którą stracił kontakt... Niemcy byli głodni i hałaśliwi, przywoływali się okrzykami. Francuzi wołali Johanna, Johanna Hansa, ale Hans rozmawiał z Elzą na Biglu i nie chciał przyjść. Johann denerwował się i krzychał:

— Elza, chodź tutaj, musisz to zobaczyć, chodź tu z Hansem.

Nie przychodzili, a Johann denerwował się. Wspiął się na palce i machał do tych na Biglu. Wysoki, elegancki, w czarnym mundurze gestapowca. Tamci odmachali, że już idą, szli rzeczywiście. Hans był oficerem o ładnej chłopięcej twarzy, a Elza ładną dziewczyną, jaskrawo umalowaną. Przeszli szyn tramwajową trzymając się za ręce jak dwoje zabawionych dzieci. Ludzie pośpiesznie robili im przejście do Johanna, który wleżał się niecierpliwie. Stali teraz razem, Franc, Johann i Elza, i wymieniłi uwagi ściszonego głosem. Johann coś objaśniał, ręką w zamieszanej rękawiczce wskazywał wiszących i coś tłumaczył. Powiał silniejszy wiatr i czterej powieszeni zakrętili się. Elza wyraźnie podlała i oparła się o ramię Johanna.

— Chodźmy stąd — powiedziała.

Patrzył na nią jakby zawiedziony i powiedział z wyrzutem:

— To są przestępcy, a ty jesteś niemiecką dziewczyną. Elza, nie zapominaj o tym.

Elza miała na sobie mundur Bund Deutscher Mädel i słowa Johanna odniosły natychmiastowy skutek. Rozśmiała się głośno, włożyła ręce pod ramiona Hansa i Johanna i zaproponowała:

— Mam ochotę napić się czegoś mocnego, co myślicie o tym.

— To mi się podoba — rzekł Johann i zajął Elzie w oczy.

Chcieli odejść, ale wstrzymał ich jeszcze Franc.

— Chwilczkę — śmiał się — z obłą dźdźcia, moji drodzy, na pamiątkę, zum Andenken.

Czarny kodak pstryknął raz i drugi. Odchodzili. Ci na szubienicy obracali się znowu wolno, jakby patrząc za nimi.

Przed Michałem, trochę z boku, stał robotnicar, taki pod pięćdziesiątkę. Michał widział jego profil: wysokie czoło, garbaty nos, zacienione usta mocną szyję. Mięśnie policzków drgały bez przerwy, jakby żuł uporczywie coś twardego. Co trochę przetykał sline, a jabłko Adama, wędrowało w dół i w górę pod jasną skórą szyi. Wiatr przestał wiać. Ci na szubienicy odwróceni byli teraz plecami, nieruchomi, jakby stali w szeregu na baczność. Prostokąty białego materiału przypięte do ich piersi i czarne napisy na nich mogło przeczytać nawet dziecko, były wyraźnie wykalfografowane dużymi literami, tak czyste jak reklama, że „Radion sam pierze”, widoczna stąd po drugiej stronie rynku. Dwa powieszeni z lewej strony, to „Polnische Verbreche”, dwa z prawej, to „Jüdische Verbrecher”.

Niemcy rechotali na Biglu. Naradzali się chyba, dokąd pójść. Rocznik spojrzął na Michała, potem na twarz ludzi stojących obok i splunął pod nogi. Stał chwilę jeszcze, potem włożył ręce w kieszenie kurki i splunął jeszcze raz i odszedł. Ludzie patrzyli po sobie...

Mimo zapewnień doktora Zawadzkiego, ośrodek zdrowia trzeba było jeszcze urządzać. Była tak zwana baza, a więc budynek, sprzęt, instrumentarium, niektóre leki i środki opatrunkowe były również, ale sporo brakowało, nawet z podstawowego wyposażenia. I Michał rad był temu. Mógł przez pewien czas nie myśleć o swej nowej sytuacji, nie zastanawiać się, uwolnić się od niewesołych rozważań. Tak było w czasie dnia, ale i to dobre...

Był tu sam, bo Katarzyny nie mógł przecież liczyć jako pomocnika, chociaż bez niej byby niejednokrotnie jak bez ręki Krystyna, która miała być tu z nim od początku, trafiła na niespodziewaną przeszkodę — nie chciano zwolnić jej z pracy w szpitalu bez trzymiesięcznego okresu wypowiedzenia. Michał chciał interweniować, miał u kogo, ale Krystyna nie zgodziła się. Są rzeczywiście trudnej sytuacji, sam wiesz dobrze, że oddział nie ma pełnego składu, trzy miesiące zleci raz dwa. Może zleci, bo roboty ma pełne ręce. To trzeba zmienić, tanto przystosować, jedne drzwi trudno zamknąć, inne znowu okno nie otwiera się...

Dobrze, że było jeszcze lato, bo i próba ogrzewania wykazała usterek. Przez kilkanaście pierwszych dni szarpał się, bo i telefon nie był podłączony. Ratawał go własny samochód, przywoził to i tamto z zespołu opieki zdrowotnej, jeździł po pomoc do Urzędu Gminy. Naczelnik, ni-ki, głuby mężczyzna, był życzliwy, ale często rozkładał ręce i usprawiedliwiał się. Musi pan doktor z zespołem, tylko z zespołem, bo ja nikogo takiego tu nie mam. Brak ludzi, a już szczególnie rzemieślników...

Umieblał jako tako jeden pokój: biurko, fotel, biblioteka, tapczan — to przywoził z domu. Stół i krzesła musiał kupić. Obraz Kokietka i broń powiesił na ścianie, zdobiło to trochę ten duży pokój z białymi ścianami. Barbara dała mu dwie zmiany bezeliny poscielowej, koldre, dwie poduszki, jasiek. Wdzięczny jej był za to, bo sam o tym nawet nie pomyślał sądząc, że jakoś to będzie. Nie było tak proste. Okazało się, że szklanki, kubki, talerze, łyżki, widelce, noże też są potrzebne. I szereg innych drobiazgów, bez których ani rusz, bo przecież w każdej chwili mógł ktoś tu wpaść — Zawadzki, naczelnik gminy, ktoś z zespołu — a wtedy chociaż kawę podać wypada...

Ktoregoś dnia, zadzwonił Zawadzki.

— Panie doktorze — mówię szybko — przed chwilą przycisnęli mnie, lekarz wojewódzki nakazał mi w tę sobotę zorganizować uroczyste otwarcie ośrodka...

— Dzisiaj jest czwartek — wtrącił Michał — potrzebowałbym jeszcze paru dni.

— Nie da rady — ciągnął Zawadzki — nie zna pan tych z wydziału, nie ma z nimi żadnej dyskusji, jest polecenie, trzeba wykonać.

— Jak trzeba, to trzeba — mruknął Michał, klnąc w duchu niespodziewaną imprezę.

— Co panu jeszcze potrzeba?

— W zasadzie mam już wszystko

— Słyszalem, słyszałem, zaopatrzenie ma już pana dosyć, wciąż pan od nich coś zabiera.

— Gdybym na nich czekał, byłby jeszcze w lesie.

— Dobrze, dobrze, cieszę się, że dla panu sobie radę, będę o tym pamiętać... i...

— Panie dyrektorze — przerwał Michał — ale do tego uroczystego otwarcia potrzebuję pomocy. Kawa, przekąska, o to za dam, ale nie mam talerzy, talerzyków, no, tego wszystkiego... Ile osób przyjedzie?

— Niech pan się nie martwi — śmiał się Zawadzki — pomożemy panu. Jutro przysyłam panu pielęgniarkę, zaradna babka, dowiedzie wszystko, co trzeba. A kiedy ośrodek ruszy?

— Jeżeli uroczyste otwarcie w sobotę, to ruszę w poniedziałek, żeby tylko pielęgniarka była na czas, dopóki...

— Dobrze, niech pan porozmawia z siostrą Kowalską, która jutro będzie u pana. Mogę ją dać panu na jakiś czas, będzie codziennie dojeżdżała. Pytał pan, ile osób będzie, już liczę, trzeba myśleć o dziesięciu.

— Aż tyle?

— Z wydziału co najmniej trzy osoby, ode mnie też że trzy, będą z gminy, słyszałem o Urzędzie Wojewódzkim, nawet o wojewodzie, na pewno ktoś z komitetu.

— Cale wesele. Bez siostry Kowalskiej Michał by zginął. Kiedy się denerwował, uspokajała go.

— Wszystko będzie dobrze, panie doktorze. Proszę zostawić wszystkie na mojej głowie — śmiała się — ja wyspecjalizowałam się w uroczystych otwarciach, od dwudziestu lat tak... historie zawsze ja zalamam, jeden szef poleca mnie drugiemu, bo jestem niezawodna.

Za skromna ta Kowalska nie była, ale sympatyczna.

— Już tyle lat jest pani pielęgniarką?

— A już, panie doktorze, miły pan jest wątpiąc w to.

— Nie wygląda pani na... na czterdziestkę.

— I to miłe, panie doktorze, ale niebawem stuknie pięćdziesiątka.

— Nigdy bym pani tylu lat nie dał.

— Dziękuję, ale przystąpmy do rzeczy. — Spojrzała na Michała i stwierdziła. — Przy tym otwarciu pięknie panu kilkaset złotych, może i tysiąc

— Jeżeli trzeba...

— Przymusu nie ma, dyrektor Zawadzki przeze mnie coś tam jutro podruczył, ale on środków na reprezentację nie ma, więc...

— Więc?

— Więc jakis koniak, wódka... na pana głowie, panie doktorze.

— Ile siostrze potrzeba?

— Niech pan doktor da tysiąc, pomyśle, co kupić...

Kowalska nie zawiodła. Z tysiąca złotych niewiele oddała, ale wszystko wypadło jak trzeba...

Podczas uroczystego otwarcia z przejęciem wstąpił miłe słowa pod adresem służby zdrowia powiedział wicewojewoda Szymkowski. Mówił swobodnie, z uśmiechem, krótko i do rzeczy. Wyraził zadowolenie, że już jakby na progu działania nowego województwa służba zdrowia oddała społeczeństwu nowoczesną placówkę w której — tak się dobrze złożyło — będzie pracować lekarz o wysokich kwalifikacjach. Wicewojewoda spojrzął z uśmiechem na Michała.

Niech dzisiejsza uroczystość dobrze zapoczątkuje działalność nowego kierownictwa służby zdrowia, niech tego rodzaju placówki powstają możliwie szybko wszędzie tam, gdzie są potrzebne...

Michał w fartuchu lekarskim stał obok siostry Kowalskiej. Promienieje zadowoleniem fachowca od uroczystości — pomyślał Michał, patrząc z przyjemnością na jej biały strój, błyszczący, wykrochmalony czapek z czarną przepaską...

Potem przemawiał lekarz wojewódzki.

— Towarzyszu wojewodo, towarzyszu kierowniku, towarzyszu naczelniku, szanowni goście. Jest mi ogromnie miło, że w dniu dzisiejszym mogę zameldować, że na terenie naszego województwa, społeczeństwo otrzymało jeszcze jeden, tak potrzebny tutaj ośrodek zdrowia... Służba zdrowia pełni zaszczytny obowiązek niesienia pomocy... Służba zdrowia przyczeka... Służba zdrowia pragnie gorąco... Wydział Zdrowia jest dumny, że już dzisiaj może przekazać...

Nastąpiła mała konsternacja. Wicewojewoda, czterdziestoparolletni mężczyzna, wysoki, czarny, dobrze zbudowany, wtrącił z wesołym błyskiem w oczach.

Lekarz wojewódzki był wyraźnie skonfundowany, wypadł z rytmu, więc szybko zakończył.

— Wydział Zdrowia zapewnia, że doloży wszelkich starań, by spełniło się życzenie towarzysza wojewody.

— I potrzeby społeczeństwa — wtrącił znowu Szymkowski.

— I potrzeby społeczeństwa.

W programie było chyba również przemówienie Zawadzkiego, bo Michał widział, że się niespokojnie kręcił, ale dalszym przebiegiem uroczystości pokierował już wicewojewoda. Zrobił to tak zrezygnowany i szybko, że nim się kto spostrzegł, było już po części oficjalnej. Podszedł do Michała, wzięła go pod rękę i zaproponował:

— Pan doktor zechce nam pokazać ośrodek, bardzo proszę.

Swój chłop — pomyślał Michał i ponownie gości szerokim korzytarzem...

cdn.



SZYMANOWSKI

„Był dla mnie ojcem i najbliższym przyjacielem. Mogłoby o nim mówić godzinami, „nie muzycznie” i tki- wie. Właśnie tak: nie o Karolu Szymanowskim, lecz o Wujciu. I dlatego nie należy od tej książeczki wymagać, aby była wykładem monografi- jnym wielkiego kompo- zytora. Chcę tylko ocalić od zapomnie- nia pewne drobne fakty z jego życia. Pragnę ukazać nie

twórcę, lecz człowieka o niespotykanej wprost dobroci i zniewalającym uroku i wielkim rozumie. Chcę opowiedzieć o Wujciu takim, jakiego pamiętam. „Wujciem” jest wybitny kompozytor Karol Szymanowski, a opowiada o nim w książce „Karol z Atmy” — Krystyna Dąbrowska, córka Zofii Szymanowskiej, najmłodszej siostry Karola. Na kartach tej uroczej książki, uroczej wła- śnie poprzez owe „drobne fakty” przewijają się między innymi postacie Stryjskich i Malczewskich, Pawła Kochań- skiego, Artura Rubinstejna, Juliana Tuwima, Kazimierza Wierzyńskiego, Jana Lechonia, Zofii Nałkowskiej, Michała Choromańskiego, Stefana Jaracza, Kornela Makuszyńskiego. Książka Krystyny Dąbrowskiej oddaje atmosferę dawnego Zakonnego w domu Karola, zamieszkała od wieków nie- bagatelna rolę w dziejach polskiej kultury. Otrzymujemy w tej chwili drugie wydanie „Karola z Atmy” o najnow- szej historii Atmy, odwiedzonej tym razem już przez zu- pełnie innych gości, ale tak jak dawniej Atmy nieroz- rwanicznie związanej z Karolem Szymanowskim.

Krystyna Dąbrowska — „Karol z Atmy”, Iskry, W-wa 1977, str. 167, cena zł 25.—

GDY BUDDA SIĘGAŁ PO BRON

„Tęgo samego roku, kiedy tak bardzo związana z bud- dyzmem Kambodża przetrwała, większość młodszych tego kraju znalazła się po stronie tych, którzy podjęli walkę przeciwko reakcyjnemu, uzurpatorskiemu reżimowi Lon Nola i Sirik Mataka. Łatwo to stwierdzić. Ale znacz- nie trudniej dać odpowiedź na pytanie, jak to się stało, że wyznawcy kontemplacyjnej religii, głoszącej zasady pokoju i unikania gwałtownych poczynań we wszystkich dziedzi- nach ludzkich sprawach i konfliktach, zamieszkała od wieków i od pokoleń w jednym z królestw najbardziej buddyzm- nych pewnego roku zaczęli stosować inną zasadę (f.). Jak to się stało, że kraj, który był przez długie lata oazą nie- mialnego spokoju na niespokojnym półwyspie, zna- lazł się prawie nagle w płomieniach wojny i że wielu po- bożnych mnichów stanęło wówczas obok partyzantów wy- puszczających z rękawicy oręż?”

Takie pytanie zadaje Monika Warneńska, na początku swojej najnowszej książki noszącej tytuł: „Gdy Budda sięgał po bron”. Książka jest efektem kambodżańskich wy- drówek autorki. Wędrowek po kraju tajemniczym i zagad- kowym w swojej dawnej historii i równie frapującym w swojej historii najnowszej. Wiodącą rolę w historii dawnej Kambodży ma to, żeby latwiej było zrozumieć współczes- ność tego kraju. Opisuje Kambodżę w roku 1965, w roku pierwszej swojej podróży do tego kraju i Kambodżę, która od roku 1970, przez pięć lat była w stanie wojny. Dla czy- telnika, który w Kambodży ma tylko z lakonicznych te- ników komunikatów agencji, książka Moniki Warneńskiej ma ogromną wartość poznawczą i historyczną. Pomaga zro- zumieć wydarzenia rozgrywane się w odległym kraju, po- maga zrozumieć dzisiejszą rzeczywistość społeczeństw Azji Po- łudniowo-Wschodniej.

Monika Warneńska — „Gdy Budda sięgał po bron”, Wy- dawnictwo MON, W-wa 1977, str. 474, cena zł 40.—

MIASTECKO WINESBURG

W 1958 roku William Faulkner powiedział o Andersonie: „Ojciec całego mojego pokolenia — Hemingway, Caldwell, Thomas Wolfe, Dos Passos”. Zanim jednak owo zdanie zostało powiedziane, wiodącą rolę w literaturze amerykańskiej przysługującej, żyjącego w latach 1876—1941, przy- mowa i oceniana była bardzo różnie. Debiutował powieś- ciami autobiograficznymi i te nie zdobyły sobie większej popytności. Sukces przyniosła mu dopiero wydana w 1919 roku książka „Miasteczko Winesburg”, nosząca podtytuł „Obrázky z życia w stanie Ohio”, na którą składały się szkielety nowelisticzne opisujące losy drobniomieszczan ze Środkowego Zachodu, nie umiejących pogodzić swojego ży- cia z coraz szybciej rozwijającą się industrializacją. Jeszcze większą popularność przyniosła Andersonowi powieść „Dark laughter”, której polskie wydanie z roku 1928 nosiło tytuł „Zły śmiech”. Wzorowali się wówczas na Andersonie wszyscy debiutanci, a więc i Hemingway, i Fitzgerald i Faulkner. Wszyscy jednak szybko odwrócili się od swojego patrona, krytykując, a często i parodiując jego utwory. Czas potwierdził jednak słuszność pierwszych głosów kry- tyki; z twórczością Sherwooda Andersona właśnie owe obra- zki z życia w stanie Ohio, czyli „Miasteczko Winesburg” weszły do krytyki prozy amerykańskiej. Pisarz przedstawia całą galerię postaci żyjących przede wszystkim wyo- brażni i tu tkwi źródło pozornych dziwactw i szaleństw bohaterów Andersona i choć od czasów Andersona wiele w Ameryce się zmieniło, zmieniły się przede wszystkim miasteczka których symbolem był Winesburg, to przecież ludzie zmieniają się wolniej. W każdym może nagle wyzwo- lić się „szaleństwo”, które będzie wyróżniało człowieka od innych. Wszystko zależy od wyobraźni.

Sherwood Anderson — „Miasteczko Winesburg”, przeło- żył: J. Krzyżosiński, Czytelnik, W-wa 1977, str. 333, cena zł 35.—

POCHYŁA WIEŻA

Virginię Woolf, zmarłą w roku 1941, powieściopisarkę an- gielską, która zajmowała się również krytyką literacką i publicystyką, znamy głównie z powieści „Do latarni mor- skiej”, „Panu Dalrowy” i „Lata”. Te trzy tytuły powstały już w tym okresie, kiedy Virginia Woolf odeszła od trady- cyjnej formy powieści i zaczęła eksperymentować w zakresie techniki Impresjonistycznej. Dziś zalicza się ją do przedstawicieli awangardowego pisarstwa — psychologiczno- stosującego tzw strumień świadomości”. W tomie wydanym przez „Czytelnika”, a noszącym tytuł „Pochyła wieża”, mamy okazję zapoznać się z esejistyką li- teracką wybitnej angielskiej powieściopisarki. Na jej dorob- ek krytyczny składają się recenzje zamieszczone przez przeszło 30 lat w tygodniku „The Spectator” i w tygodniku amerykańskim „The New Yorker”. W tym tomie powstało również wydanie książkowe, złożone z sześciu tomów opatrzonych tytułami jednego z zawartych w nich szkiców. Polskie wydanie na- wiązuje do tej tradycji — „Pochyła wieża”, to tytuł os- tatniego eseju w tomie, na który składa się 36 szkiców. „Pochyła wieża” zawiera mniej więcej jedną czwartą ca- lego dorobku krytycznego Virgini Woolf, a tom pomysł- ny jest tak, że czytelnik ma możliwość poznać kolejnych faz kultury angielskiej, i to aż od epoki elżbietańskiej po czasy współczesne. Eserde poświęcone literaturze an- gielskiej uzupełnione są o prace omawiające również lita- turę obca np. rosyjską czy amerykańską. W swoim czasie Virginię Woolf zarzucano, że nie stwo- rzyła własnego systemu krytycznego. Ale może to i dobrze. Wprowadza nas do świata literatury angielskiej i światowej możemy ocenąć tę literaturę poprzez spojrzenie pisarki, która zwykła podkreślać, że jest tylko „zwykłym czytelnikiem”. Oczywiście „zwykłym czytelnikiem” nie była, bo sama była pisarką i czuła wazęst pła- sarki innych autorów. I dlatego nie potrzebowała kon- struować teorii na temat sztuki powieściopisarskiej. Po pro- stu ją czuła.

Virginię Woolf — „Pochyła wieża”, przełożył: A. Am- brosi E. Zycielska, Czytelnik, W-wa 1977, str. 378, cena zł 50.—

Pejzaż Łodzi z roku 1911 — a więc sprzed 66 lat, to obraz miasta, które odeszło, którego już nie ma. Nie ma już dawnej czarnej chmury dymu nad piekłem, w którym dnem i nocą rozlegał się suchy kaszel tysięcy gruźlików. Nie ma miasta, do którego dnem i nocą chłopi niedzrze ciągnęli jak do Ziemi Obiecanej. Nie ma już miasta masowych prze- grzebów dzieci koszonych przez biegunki, krzaczki, ospy i tyfu- sy. Zniknął las posepnych komi- nów fabrycznych, które tak przerażyły młodego Jarosława Iwaszkiewicza.

Ze wzgórz pod Nowosolną widać jasne miasto tysięcy no- wych bloków mieszkalnych, w których rodzi się i rośnie nowe pokolenie Polaków. Po przeczytaniu pięknych wspomnień wielkiego pisarza — warto jednak w piękny nie- dzielny poranek wyjść za miasto — na wzgórze pod No- wosolną albo na Stoki — i o- bejrzeć panoramę nowej Łodzi, którą robotnik łódzki buduje od nowa — dla siebie, dla swo- ich dzieci, dla przyszłych po- kolen.

H. R.

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ SPOTKANIE Z ŁODZIĄ

Okolice Łodzi są bardzo ma- łownicze i w naszym nie przy- pominają miejscowości pod- warszawskich. Błądząc po tych stronach dostałem się od razu w okolice rzeki Moszcznicy. Uroczą tą, płaską zresztą, dolina do dziś dnia mało się zmieniła i zawsze pozostaje taka pełna wdzięku, jak była wtedy, w roku 1911. Rzekę Moszcznicę — wąską ale czystą rzeczkę, poznałem od początku chyba, od Nowo- solnej aż do Strykowa. Dope- ro za Strykowem Moszcznicę rozszerza się trochę i dzia- rskożda do Bzury i razem z Bzu- rą wpada do Wisły pod Wyszog- rodem. Ale ja znam tylko górny bieg Moszcznicy.

dość głęboki ze starym my- nionym. Staw nazywał się Poper- ka, był czarniawy od olch za- rastających brzozi i miał ka- mieniste dno. Osypała się tu- taj jakaś kamionka.

Woda tu była żółta, ale prze- rzysta. Widać było między ka- mieniami raki, które wypelza- ły o zmierzchu. Były olbrzy- mie. Łapałymi by przemysłowy sposóbem na kije, do których przywiązywało się żabie trupy, odarte ze skóry. Widać było jak rak wypelzał z nory i za- nurzał szczyptę w mięsie żaby. Wtedy trzeba było podstawić woreczek-podrywek, obciążać na efekt przelamywania się strząsają raka do podrywki. Dochodziłem w tym do wiel- kiej wprawy.

A tych raków tam widać nikt nie łowił od niepamięt- nych lat, były takie ogromne. I mieszkają w tych szarych kamieniach i w białych chmu- rach, które odbijały się w żół- tej wodzie jak w lustrze. Poperka miała jakieś swoje odpływy do Moszcznicy. A po obu stronach doliny widniały lasy i zagajniki. Wśród zagaj- nika strzelał niespodziewanie w górę gotycki las w Bucz- ku. To było po prawej stronie. Po lewej stronie obrastał do- linę las, a właściwie las, w Dobieszkowie. Był tu i dwór, w dorze tradycje powstające — bitwa pod Dobieszkowem w roku 1863 — a za moich czas- ów czujący młody człowiek, który flirtował z moją przy- jaciółką Zosią.

Ładnie tu było, Moszcznica się rozlewała szeroko, tworzy- ła oka na łakach, siedziały tu

mnę, ale to już zaczynał się Stryków, kościół mariawicki i wielki kościół katolicki przy szosie — wszystko to zapamię- tałem doskonale i wiele razy omisłem. Czy opisy te są zgo- dne z ówczesną rzeczywistością — nie wiem. I nikt już tego nie może stwierdzić. Dolina tą widać było z wszystkich bok- ki. Sam i z chłopcami, którzy chodzili na polowanie. W stro- nie Brzezin szło się drogą, a widać było miedza w górę, aż do św. Wawrzyńca. Nazwę świętego Wawrzyńca nosił stęp ceglany, jedyna pozosta- łość po dawnej figurze, stoją- cej na straży granic pola. Ta droga wiodła do wsi Moskwa, która jak diadem swoim topo- lowymi i wiśniowymi drzewami widać było w tym miejscu horyzont. Za Moskwą była wieś — duża i duża — wieś Lipiny, leżąca już przy szosie Brzezińskiej — Łódź. Jest ona tam i dzisiaj, ani zmalała ani urosła.

Dalej wzdłuż obrzeża doliny i z tej strony również dochod- ziło się do lasów. Za moich czasów był to zagajnik w Buc- zku i kawałek niespodziewa- nie wysokiego „gotyckiego” lasu, najczystszy cel konnych spacerów: po podwieczorku je- chało się do lasu w Buczku.

Cała idylia doliny Moszczni- cy tak piękna i tak pełna wdzięku, niepokoiła tylko w jednym punkcie nad obrzeżem doliny, na południowym zacho- dzie unosił się zawsze gesty- lub rzadszy obłok czarnego dy- mu: tam była Łódź.

Od pierwszych dni mojego pobytu w Byszewach, w dol- nie Moszcznicy, korelł mnie ten czarny dym na horyzon- cie. Chciałem od razu wiedzieć, jak to wygląda, owo miasto, nad którym jak nad jakimś bi- bilijnym miastem przekletym, unosił się ów czarny obłok dy- mu.

Nie było to daleko. Pachciarz z Byszewy codziennie jeździł do Łodzi, wozził wozem mleko do miasta. Ale nie mościem się z nim zabrać. Pan Plichta był sędzią pokoju w Lipinach i jeździł co tydzień do tej wsi; to mu wystarczyło, do Łodzi nie jeździł. Może raz czy dwa w ciągu całego moich wakacji.

Wybrałem się więc do prostu plechota. Wybrałmy się we trzech, ja, jeden ze Świerczyń- skich i przedstawiciel lubel- skiej rodziny Pomarańskich, jeden z braci, którzy później w Polsce mieli firmę wydawni- czą.

Wyruszyliśmy chyba wczes- nym rankiem — już nie pa- miętam. Pamiętam tylko ten frapujący widok, kiedy za No- wosolną wydołaliśmy się na wzgórek i rozciąła się przed nami cała panorama Łodzi. Był to widok piekielny.

Rok 1911 był rokiem najwięk- szej „prosperity” dla przemy- słu łódzkiego wszystkie fabry- ki szły całą parą, wytwarzając setki tysięcy metrów materii, najbardziej tandetnych, które szły na sporządzenie najtań-

szych ubrań dla całego połud- nia Rosji i Kaukazu. To co ujrzyliśmy z tego wzgórzka na szosie za Nowoso- lną wyglądało upornie. Dosło-ownie las kominów, które wszy- stkie dymyły czarnym, gestym dymem. Był to gorący lipco- wy dzień i dym nie rozwie- wał się w powietrzu, ale two- rzył wielki czarny obłok nad miastem, które tu wydawało się zupełnie szare i jakby przykryte gestym welonem.

Kiedy zbliżyliśmy się do miasta, zaczęliśmy rozpozna- wać tego koszmarnego szarego. Panowała jakaś letnia epi- demia. Spotykaliśmy co krok wozy żalobne, najczęściej z dziećmi trumnami. Opowia- dałem kiedyś o tym Waldzie i wprowadził on te wozy z trum- niakami do swego filmu „Zie- mia Obiecana”. Tylko że ja, gapa, zapomniałem mu powie- dzić, że te dziecinne trumnie- ki były albo niebieskie albo różowe. Dawało to efekt nie- zapomniany. Do dziś dnia tkwi- a mi w oczach owe kolo- rowe, dziecinne trumienki.

Dziś mi się wydaje, że to wszystko co przypominam; i te pejzaże dziwnego i okrutnego miasta, i te łagodne stoki pła- skiej doliny, i ci ludzie, którzy się tam kreślił z mną przed pięćdziesięciu, przed trzydzi- stu, przed dwudziestu laty, przychodzi do mnie we wspo- mieniu jak we śnie. Nie bar- dzo wierzę, że naprawdę cho- dziłem z Wickiem i z Aplem po polach konicywny, że wi- działem boską Elektry w po- staci Zofii Mrozowskiej, i że żył tu kiedyś Staś Krzywczewski, który znalazł hycłów we Mławie.

Wracam czasami teraz w tamte okolice. Ale przecież wieść, czytelniku, co to jest powracać w okolice, które się znało i kochało w dawnych czasach i z dawnymi ludźmi, a teraz się ich nie poznaie. Zdają się inne, zmienione, wy- glądzone — a czasami zupełnie inne niż żył przez długie la- ta w pamięci i w wyobraźni.

Staje się nad rzeką, społga- da na pejzaż z lasem, widzi się perspektywę ulicy — i za- daje się sobie pytanie czy to jest to? Czy to jest naprawdę to samo, co mi się w młodo- ści wydawało piękne, niezapo- mniane, kochane i miłe?

Bo to przedmłoty i te okoli- ce, których obraz i pamięć tkwi w nas samych, zmieniają się wraz z nami, i jak czasami nie poznajemy pejzażu na- szej własnej duszy, tak samo nie poznajemy pejzażu lasu Dobieszkowskiego, stawa w Brzezinach, ale i w Helenowie i fasady domu na Piotrkow- skiej.

I zdają się być te dawne pejzaże tak samo oschłe, jak oschła stała się nasza posta- rzała dusza.

„To się bardzo ładnie na- zywa. Kobięto Narses, to się nazywa Przemijanie.”

(Z tomu „Podróż do Polski”)

WACŁAW PAWLAK OSOBLIWOŚCI STAREGO MIASTA

na w kształcie i wysokości za- budowa ul. Podrzecznej. Na wprost, wyrównana prawie linia, ciągnęły się odrapane kamienicz- ki Starego Rynku o wąskich, trójokiennych ścianach fronto- wych. Spoz kolorowych da- chów z faclatkami, krytych bła- cą lub dachówką, wyruszały się strzeliste, cynobrowe wieże mariackiego kościoła. Przez in- kowe bramy domów przewityły zagraczone podwórka. Panoramę Starówki zamykała perspektywa wąskiej ulicy Wolborskiej z la- dą synagoga w stylu mauretań- skim w gelbi.

na w kształcie i wysokości za- budowa ul. Podrzecznej. Na wprost, wyrównana prawie linia, ciągnęły się odrapane kamienicz- ki Starego Rynku o wąskich, trójokiennych ścianach fronto- wych. Spoz kolorowych da- chów z faclatkami, krytych bła- cą lub dachówką, wyruszały się strzeliste, cynobrowe wieże mariackiego kościoła. Przez in- kowe bramy domów przewityły zagraczone podwórka. Panoramę Starówki zamykała perspektywa wąskiej ulicy Wolborskiej z la- dą synagoga w stylu mauretań- skim w gelbi.

W Bogobojni Żydzi, zwany chasy- dami, niechętnie zapuszczali się w ul. Wolborska. Czybały tam bowiem na każdym kroku poku- sy cielesne w postaci młodych dziewcząt, trudniących się nie- rzędem. Na Wolborskiej niemal w każdej posesji znajdowały się domy schadzek.

Stare Miasto prawie wyłącznie żyło z handlu. Każda kamienicz- ka, a nawet każda oficyna była siedliskiem sklepów i sklep- ków. Większość z nich nie po- siadała witryn, w których moż- na by pokazać oferowane towa- ry, a wiadomo, że handel wymaga reklamy. Brak witryn zastę- powały blaszane szyldy, obramo- wujące wejścia do wąskich, lecz głębokich wnętrz sklepowych. Na owych szyldach dom-rosłi artyści wymalowali wszystko, co do staromiejskich sklepach było do nabycia: odzież męska i dam- ska, obuwie, produkty spożywcze, butle wina i kufle piwa z gry- wą pianką. Czerwone wywieści- ki z białymi głęsmi, umocowane na żelaznych prętach, zapraszały

do sklepów z pierzem. Prymi- tywne malowidła na blasze ozna- mawiały do wyobraźni klientów moneje, aniżeli wszelkie napisy. Wśród kupujących sporo było a- nalphabetów, toteż pismo obrazko- we znakomicie ułatwilo im od- szukanie właściwego sklepu.

„Szyldy sklepów Starego M- iasta to bardzo ciekawy wytwór sztuki malarskiej miejscowego chowu” — taki osąd wydał o nich Karol Hiller.

Handel na Starówce odbywał się na wszystkich ulicach. Zadna z nich nie dawała jednak tego obrazu ruchliwości i kłótni, co ulicach Wschodnia, zwłaszcza na odcinku pomiędzy Wolborska a Północna. Trudno było się przejść, ażeby nie otrzeć się o zamorusane, lepzące się od brudu postacie. Opatulone w chusty żydowskie kobiety, stare i mło- de, dzieci i wyrostki lub podli- ki — wszystkie wrzaskliwe i podniecone zachwalało swój gro- szowy towar, usiłując się wz-ajemnie przekrzyknąć.

Każdy z handlujących posia- dał koszyczek, a w nim trochę kalafiorów, pietruszki, jaj, cytry- ny, czekolady i cukierków. Najwięcej jednak było sprzedaw- ców śledzi. Trzymał je w po- obijanych kublach, miednicach, garnkach. Sprzedawca wody so- dowej dzierzył w ręku metalo- wy syfon, do pierśi zaś miał przymocowaną przemyślnie ta- cę ze szklankami. Przepychał się na powoli przez ruchliwy tłum, po- krykując ochryplym głosem: Zude Wasser! (woda sodowa).

Handel obnosny dozwolony był tylko w ruchu. Sprzedawca nie mógł stać w miejscu. Toteż na widok nadchodzącego policjanta wszyscy handlarze poruszali się, balansując, by po przejściu przedstawiciela ładu i porządku ponownie stać w miejscu.

Osobliwy widok dawała nie- dzielna, gdy w myśl przepisów wszelki handel był zabroniony. Ulice Starego Miasta tak samo były zaflocone jak w dzień po-

wszechni. Poruszanie się masy ludzkiej odbywało się jednakże inaczej niż zwykle. Rozkłada- ły na widok policjanta wlewa- ły się strumieniaki w czelusz- ce bram i podwórek. Sprzedaw- cy umykali ze swym towarem, popędzani ostrzegawczymi okrzy- kami czatowników. Gdy policjant się oddalił, wszystko powracało do dawnego stanu.

Sklepy w dni świąteczne zam- knięte były na kłódkę, okna pozostawiane, ale handel odby- wał się w nich normalnie. Przed sklepami stała młodzież. Żyła w wyswiechtanych chałatach, bro- jny w klucze od kłódek. W miarę potrzeby wpuścili oni do wne- trza sklepów klientów, bądź też ich wypuszczali, bacząc przy tym uważnie by na tej czynno- ści nie przylapani nie policjant.

Alę i policjanci nie byli w clemie biał. Wkładali taki rękę do kieszeni wartującego Żyda, wyցwał z niej kluczy i otwierał sklep. Wewnątrz zaś pełno było kupujących. Zdałoby się, że kupiec znacznie lamentował. Nie podobnego! Skoro już stało się nieszerzej, trzeba sobie było jakoś radzić. Sprytna kupcewa wciągnęła policjanta na zaplecze sklepu. Drobnym upominek laro- dził gniew „władzy”. Można było dalej hanlować.

Jedną z osobliwości Starego Miasta stanowił żydowski że- braecy. Wystawali oni nieruchomo przed większymi sklepami, ob- szarpnym odzieniem i odróżnia- cym wyglądem odstraszając klientów. Zdemerwowany właścicel takiego sklepu przepedzał oberwanca, ale nie to nie dawa- ło, gdyż po jakimś czasie zjawiał się on ponownie. Bezradny kupiec wręcał wresz- cie żebrakowi datkę pieniężną, z warunkiem, że przeniesie się on pod sklep konkurenta.

Nie ma już dawnej Starówki. Pozostały tylko jej opisy oraz wspomnienia o mieszkańcach tej osobliwej dzielnicy Łodzi.

WSPINACZKA NA PÓLKI

Niedawno przeczytałem w „Kulisach”, że Wieniawa-Długoszowski powiedział (cytuje): „szewe w Częstochowie robi się chory na wiadomość, iż ksiądz w Białymstoku (za nazwy miejscowości nie reze) zostaje kanonikiem”.

Obawiam się, że autor nie może również ręczyć za autorstwo tej egzemplifikacji tzw. bezinteresownej zawiści. Biore bowiem do reki opasły tom Melchiora Wańkowiaka „Przez cztery klimaty” i upewniam się, że w roku 1947 w broszurze „Kundlizm” Wańkiewicz napisał: „Czemu stukał się młotkiem w zelówkę szewczyrzywił się z lekceważeniem, z obrazą osobistą nieomal i pocuciem krzywdy, kiedy się dowiódł, że kanonik został pralatem?”

W swoim czasie Irena Dzieńcie strzeżła erudycja w „Tele-Echu”: „Irzykowski napisał, że jak pralaty w Poznaniu zostają biskupem, to szewe w Radomiu przez tydzień choruje

z zardrości...” Jeszcze wcześniej w felietonie radiowym usłyszałem: „szewe zardrości kanonikowi, że został pralatem — powiedział Stonimski...”

Teraz już sam zaczęłam wątpić, kto naprawdę wymyślił to powiedzonko — Wańkiewicz, Wieniawa, Irzykowski czy Stonimski.

W powszedni obieg wchodzi powiedzonka z literatury i potem nikt już nie pamięta autora. Wszystkie mówimy o tym, że ktoś „wykreślił się stanem”, ale ktoś wie, że pochodzi ono w prostej linii od Mikołaja Reja z Nagłowic, który pierwszy napisał o tym w „Figliakach”.

Kiedys usłyszałem w telewizji zdanie: „Felieton się nie pisze, felieton się tańczy”. Według telewizyjnego gawędziarza miał to zdanie wygłosić pewien stołeczny redaktor.

Akurat prawd! Stowa te wypowiedział bohater sztuki Jean Paul Sartre’a pt. „Niekrasow” i brzmiały one: „Ga-

zety się nie redaguje — gazety się tańczy”.

A zatem, wbrew temu, co sądził mityczny redaktor, felietonu się nie tańczy, lecz po prostu pisze. Jest to nieco trudniejsze niż tańcie. Pisze się felieton nie w próżni, nie w oderwaniu od zapisanych już tomów. Nie ma się czego wstydzić.

Moja podręczna biblioteka felietonisty zawiera i trzy tomy „Panopticum i archiwum kultury” Juliana Tuwima i zbiory anegdot o twórcach i uczonych i „Naturalna historia nonsensu” B. Evansa i dwa tomy figlarniej stylistyki zebrane przez Zbigniewa Isaaka i „Na tropie słów i rzeczy” Leona Przemysłowskiego, „Księżkę osobliwości” Juliusza Herlingera i „Lamus ciekawostek”, wydany przez KAW... Oczywiście słowniki, leksykony, pamiętniki, „Myśli nieuczesane” Leca i wiele, wiele innych książek.

Oczywiście nie, chodzi tu o prymitywne „zrzynanie”, ale o

materiał ilustracyjny dla spraw i też prezentowanych w felietonie. Żyjemy w czasach wężkich specjalizacji i pisanie felietonu także wymaga określonego ukierunkowania. Na przykład znakomita pomoc „ilustracyjną” jest „Księga cytatów” z polskiej literatury pięknej — blisko 900-stronicowy tom zawierający 300 stron samego indeksu tematycznego.

Felieton jest gatunkiem lekkim, żartobliwym, czytelnik powinien odnieść wrażenie, że tekst został napisany w piętnaście minut. I autor musi męczyć się nad tekstem tak długo, aby już czytelnik nie musiał, Służa temu celowi także książki, znajdujące się w podręcznej bibliotece felietonisty.

Nie tańczy się felietonu — nie Terpsychora wiedzie go z liry i piektronem. To raczej Kalopoe — muza pieśni epickiej, filozofii i retoryki.

Jest wielką mądrością w aforyzmie, że „do słabokiej myśli trzeba się wysoko wspiąć”. Bardzo często jest to wspinaczka na biblioteczne półki. Bo wiem samowystarczalni umysłowo są jedynie geniusze.

Albo głupcy.

WIDOK

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH WACŁAW BILINSKI



On umie wyzyskać temat:
„NAGRODY I ODZNACZENIA”!

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

KONTROWERSJE I KONFLIKTY

Nowatorzy historjografii tylekroć wyrzykali na historię polityczną, że sędzią wskazania aktualnej naukowej metody, czytelnik dawno powinien wyrzucić ze swego księgozbioru wszystkie dotyczące jej publikacje. Wątpliwe jednak, czy kłopotliwie, to kiedy uczynił, nawet jeśli bacznie śledził za zmianami mody, choć przecież coś takiego, jak moda, istnieje również w dziedzinie nauki. Krytyka tradycyjnego dziejopisarstwa politycznego wskazuje na coś się przydatniejszej jest dziś, niż dawniej, powierzonej, pływającej relacji o ciągach politycznych wydarzeń, a współczesna historia polityczna stała się bardziej niż kiedykolwiek dziejopisarstwem penetrującym w głąb i wszerz historyczną materię, z którą tak trudno jest się opanować. Eugeniusz Duraczynski w swojej książce „Kontrowersje i konflikty 1939—1941” ogłoszona przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe (1977) dotyczy nadzwyczaj ważnej problematyki z naszej najnowszej historii. Chodzi w niej bowiem o pierwsze, najważniejsze lata działalności utworzonego na obczyźnie, po doznanej we wrześniu 1939 r. klęsce, rządu polskiego oraz jego relacje z krajem. Polacy jako pierwsi — podkreśla autor na wstępie do swej pracy — utworzyli rząd emigracyjny, starannie się nadszatkowali, normalnie funkcjonującego ośrodka władzy państwowej. Jednocześnie przez długi czas był to w latach II

Wojny Światowej pierwszy i jedyny w ówczesnej Europie rząd „starający się stworzyć w okupowanym kraju coś w rodzaju „państwa podziemnego”, mniej lub bardziej przemysłowy system trójbokowej organizacji wojskowej, krajowej reprezentacji i instytucjonalną formułę porozumienia podziemnych grupowań politycznych wchodzących na emigrację w skład rządu”.

Idzie w tej książce nie tylko o opis serii zdarzeń, ale o coś więcej: o analizę procesów politycznych o zasadniczym znaczeniu dla Polski zarówno w rozpatrywanych przez autora latach, jak i później. Rozważania autora bieżą na dwóch krzyżujących się płaszczyznach: emigracja i kraj. W oparciu o wszechstronna podstawa źródłowa — szczególnie owocne okazały się badania E. Duraczynskiego, przeprowadzone w 1973 r. w londyńskim Instytucie Polskim i Muzeum im. gen. Sikorskiego — historyk śledzi ścieranie się zaistniałych w tym czasie dwóch zasadniczo rozbieżnych koncepcji politycznego działania, wypływających z ogólniejszych politycznych orientacji. Przeprowadzone przez autora badania, jakże uwzględnione na historycznym szczeblu, na zmienność okoliczności czasu i miejsca badacza analizy doprowadziły go do sformułowania ogólnych wniosków o dylematach polityki polskiej lat 1939—1941. Kiedy na jesieni 1939 r. gen. Władysław Sikorski formował pod opieką francuskiej, a po trosze

i angielskiej na wychodźstwie rząd, niewątpliwie posiadał silną aury, aby „stać się standardem, jeśli już nie większość, to przynajmniej znacznej części przedwojennej opinii antysanacyjnej”. E. Duraczynski zatrzymuje się nad nim przez chwilę akcentując, że istotnie pod tym względem znaczenie miało ujawnienie przez niedawną klęskę „skali negatywnych doświadczeń” dotychczasowego obrotu rządowego i związane z tym nastroje nienawiści do sanacji, pisuńców, legionistów, jakie obserwowali nawet niedawni entuzjaści sanacyjnego reżimu. Istniała więc — jak podkreśla historyk — „modliwie zaproponowana nowych zasad politycznych oraz narzucała określonego modelu funkcjonowania rządu, a nawet doboru współpracowników i obsadzenia czołowych stanowisk w „rodzinnym” rządu — i oto właśnie główne pytanie, na które E. Duraczynski stara się udzielić sobie i nam, czytelnikom odpowiedzi — te obiektywne możliwości nie zostały wówczas wykorzystane, dla czego zaprzeczona została istniejąca szansa?”

Wiele można rozprawiać o roli jednostki w historii, trudno jednak mówić o „rodzinnym” rządu — w sytuacji, w której określone jednostki mają szczególnie wiele do powiedzenia w takiej właśnie sytuacji był premier emigracyjny ksiądz, który w ostatnich warunkach, mimo wszystkich zaprzeczeń, był przecież także politykiem, tyle że o odmiennej, aniżeli premier emigracyjny rządu orientacji. Jak sprawy te przybrały w końcu obrót — to już wiadomo. Można powiedzieć, że rozważająca te zagadnienia monografia E. Duraczynskiego jest książką o klęsce Władysława Sikorskiego.

ANDRZEJ F. GRABSKI

CZYJA TO ULICA?

Kiedy jeszcze pracowałem w codziennej gazecie, a drukarnia znajdowała się przy ulicy Zwirki, zdarzyło mi się pewnego letniego dnia, idąc na dyżur spotkać mężczyznę wyraźnie zmęczonego birbancją, który zapytał mnie zupełnie nieoczekiwanie: — Przepraszam, ale gdzie ja jestem?

— Stoimy na rogu ulicy Wólczańskiej i Zwirki. Tu jest Zwirki, a to jest Wólczańska.

— Aha — powiedział zmęczony birbant — to ja mieszkam w tamtej bramie.

Jerzy Katarasiński miał podobne spotkanie, kiedy jeszcze mieszkał na Teofilowie i nie pracował w telewizji, a było to również bardzo dawno. Wtedy również zmęczony birbancją mężczyzna nie mógł dojść tego, czy znajduje się na Teofilowie, czy na Dąbrowie.

W takim stanie wszystko się może zdarzyć. Ale przecież zdarzyło się mi kilka razy usilnie szukać nowego bloku, który stojąc przy jednej ulicy zaliczony był do zupełnie innej. Na przykład domy znajdujące się przy ulicy Wrocławskiej numerowane są jako domy przy ulicy Drukarskiej. Takich anomalii można znaleźć w Łodzi znacznie więcej. Często gospodarz zapraszając gościa, który idąc do nich z pierwszą wizytą, wręczając im szkiełko sytuacyjny, bez którego długo można błądzić i znacznie spóźnić się na prośbą na kolację.

Kiedys domy stały sobie równym szeregiem przy ulicy, przytkając do siebie bokami i nie było problemu z ich numeracją i przynależnością. Teraz — słusznie zresztą — stawia się je w pewnej odległości i to opanistom nastrożca sporo kłopotów, które później latami odbijają się na biednych przechodniach daremnie poszukujących wskazanego adresu. Tylko listonosze i inkasenci elektrowni orientują się w tej gmatwaninie. Ale to w końcu należy do ich obowiązków.

Nie wiem, czy jest jakiś sposób na uporządkowanie tych spraw. W każdym razie potrzebna jest w takich skomplikowanych sytuacjach jasna i wyraźna informacja, gdzie czego szukać. I oto właśnie władze miasta zaczęły wprowadzać nowe i bardzo czytelne tablice informacyjne z nazwami ulic. Inicjatywa godna pochwały.

Do niedawna ograniczano się wyłącznie do podawania nazwiska bohatera, któremu przypisana została ulica. Mam na przykład ulicę Przybyszewskiego. Którego? Stanisława Przybyszewskiego pisarza, czy Stefana Przybyszewskiego działacza KPP i PPR? Jest to ulica Stefana Przybyszewskiego, który żył w latach 1903—1943. Działal w Włocławku, jako członek PPS-Lewicy i KPP. Od 1932 roku w Łodzi. W czasie okupacji organizował akcje sabotażowe. Pod koniec 1942 roku został sekretarzem Komitetu

Obwodowego PPR w Łodzi. Aresztowany w kwietniu 1943 roku, zamordowany został przez gestapo.

A ulica Dąbrowskiego? Czy tego samego, którego imieniem oznaczono plac, gdzie mieści się Teatr Wielki i sąd? Tego samego. Łódź ma bowiem i plac imienia Jarosława Dąbrowskiego i ulicę Jarosława Dąbrowskiego, chociaż Dąbrowskich było wielu, a o Janie Henryku śpiewa się nawet w hymnie państwowym.

Na nowych tablicach informacyjnych o nazwach ulic w Łodzi pisze się nie tylko imię i nazwisko patrona, ale też krótką informację o tym, kim był i kiedy żył. Bardzo to rozsądny pomysł. Miałoby się rozwinąć, ulic przybywa, powtarzamy różne nazwiska różnych postaci nadane tym ulicom i często zupełnie nie wiemy, kto był i co zrobił. Wcale nie przesadzam, bo jeśli nawet ktoś wie, kim był na przykład Stanisław Tybura, to młodzi najczęściej nie mają o tym pojęcia.

Rozmawialiśmy niedawno o ludziach, którzy w taki czy inny sposób zasłużyli się Łodzi. W pewnym momencie padło nazwisko działacza, którego całe życie związane jest z tym miastem, a który już odszedł na zasłużony odpoczynek. Przyśluhujący się tej rozmowie młody człowiek zapytał: — A kto to był?

Jaka więc mam gwarancję, że młodzi wiedzą, kto to był? Leon Koczaski, który na Retkini, gdzie żył i działał, też ma swoją ulicę. A są to przykłady wzięte z brzegu. Dlatego krótkie informacje, kogo czymś nadszatkowuje jego imię ulicy bardzo jest potrzebna. Dobrze się więc stało, że takie tabliczki się pojawiły.

Ponieważ wspominałem o Stanisławie Tyburze i Leonie Koczaskim, którzy mają w Łodzi swoje ulice, więc kilka słów wyjaśnienia. Stanisław Tybura był działaczem SDKPiL i KPP. Urodził się w 1878 roku. Był zesłańcem i więźniem politycznym. Aresztowany po zajęciu Łodzi przez hitlerowców zginął w obozie koncentracyjnym w Dachau pod koniec 1940 albo na początku 1941 roku.

Leon Koczaski też był działaczem KPP, w czasie okupacji był jednym z założycieli tajnej organizacji sabotażowej a później Frontu Walki za Naszą i Waszą Wolność. Należał do PPR, prowadząc walkę w Poznaniu a później w Kieleckim, gdzie zginął z rak NSZ-owców w Mielniku i działał w Retkini i Piaski. Jego rodzina do dziś żyje w Łodzi. Jego imię nosi jedna z łódzkich szkół.

Dobrze więc, że młodzi będą choć z krótkiej informacji orientowali się, kto jest patronem tej czy innej łódzkiej ulicy.

MARCIN RODAK

SPOSÓB NA TELEWIZJĘ

W listopadzie ubiegłego roku podczas nadawania wieczornego dzionika przez telewizję angielską obraz zmienił się nagle, po czym zabrzmiął wyraźny męski głos. „Tu mówię przybył z planety Asteron, przedstawiciel Międzygalaktycznej do spraw pokoju kosmicznego” — oznajmił głos czystością angielszczyzny, co świadczy o tym, że język ten stał się już językiem kosmicznym. Tajemniczy mówca, zgłaszając koniecwo partię dziennika nawoływał do pokoju i ostrzegał Ziemię, że dotychczasowy sposób zarządzania naszą planetą jest nie do utrzymania. Jeśli Ziemia nie się uspokoi, zostaną wyrzuceni poza układ słoneczny.

Po trzech minutach głos się wyłączył, natomiast rozdzwoniły się telefony przerażonych widzów. Policja musiała nawet pojechać do jakiejś staruszki, aby ją uspokoić i zapewnić, że ktoś sobie tylko zażartował i że zostanie przykładnie ukarany.

Nie był to żaden zamierzony trik programowy telewizji angielskiej; jakiś kawałeczek naprawdę włączył się z zewnątrz i chociaż policja twierdzi, że wie już jak to zostało zrobione, to jednak sprawy dotychczas nie odnaleziono.

I to jest w całej sprawie najważniejsze: istnieje techniczny sposób samowolnego wejścia na fale emisji telewizyjnej. Jak wiadomo — wszelkie zamachy stanu w trzech świecie zaczynają się od ataku na stację radiowo-telewizyjną, aby pretendent do władzy mógł jak najszybciej wygłosić orędzie do narodu i pokierować całym systemem informacji po swojej myśli. A oto okazuje się, że niczego nie trzeba zdobywać wystarczy włączyć się skądś z boku w program, zagłuszyć go i gadać do milionów ludzi o czym się tylko zechce. Można bezkarnie przeszkadzać, wtrącać się, przyszydzać pięknym spikerom i uzupełniać kwestie aktorów, grających własnie choćby Szekspira. „Być — albo nie być?” — pyta drzącym głosem Hamlet, a tysiąc wyjąć odpowiada natychmiast: „Nie był! Zjedźdzaj pan!” Konkursy stają się niemożliwe, bo nie można wykluczyć podpowiadania. W koncert szopenowski włączy się bęben z okaryna, w popis wokalny słynnej śpiewaczki — odgłosy ręcznego pilowania drzewa. Nigdy nie będziemy wiedzieli, co usłyszymy — a z czasem zapewne i zobaczymy — po naciśnięciu

guzika. Prawdopodobnie nie, bo tyle głosów i obrazów nalożyło się na siebie jednocześnie, że zostanie z tego jeden wycinek, nieartykułowany wrzask.

Na szczęście jesteśmy do tej sytuacji przyzwyczajani stopniowo, nie spadnie ona nagle jak grom z jasnego nieba. Na razie analogicznie przedstawia się sprawa w zakresie tak zwanej łączności przewodowej, czyli telefonicznej. Czy mogą być pewny, kto się odezwie po wykreśnieniu numeru telefonu? Absolutnie nie! Czy mogą coś poradzić na to, że w trakcie pełnej rozmowy z przyjacielem włącza się nagle energiczny baryton i nie tylko gada bzdury o wskaźnikach, uszczelkach i poślizgach, ale jeszcze ruga mnie za to, że przeszkadzam w nadaniu ważnego meldunku służbowego? Nie, nie nie mogą poradzić. Sam też włączam się czasami niechcący w cudzy dyskurs i dowiaduję się mimowolnie, kto z kim i w jakiej sukience.

Odłąk w mojej instytucji zmieniono centralikę telefoniczną, instalując jakąś nowoczesną i rzekomo sprawną, odkąd centrala miejska zaczęła zastępować stare, wieloletnie i podobno zdezultowane urządzenia nowymi, bardzo świetnymi bo z importu — odłąk niczego przez telefon załączyć nie można i cała rzecz przestaje mieć jakikolwiek sens. Tak samo będzie na pewno z radiem i z telewizją, czyli z łącznością bezprzewodową: gdy tylko u-powszechnią się precyzyjne, łatwe i tanie sposoby psucia i macenia, zakłócania i zagłuszania — przedstawiamy z całego tego dobrodziejstwa korzystać.

Wyobraźcie sobie, jak przedłuż się wtedy ludzkie życie! Zwiększa dziedzinostwo: statystyki amerykańskie mówią przecież, że dzieci spędzają przed telewizorem 20—35 godzin dziennie, czyli 3 do 5 godzin dziennie. Nieszczęśliwie Prawdziwie, bezsporne nieszczęśliwie, na które nie ma rady. Dopiero wypadek angielski może rokować jakieś wyjście: najbardziej atrakcyjne pozycje, przysiadające dzieciaków do foteli na długie godziny, zaczniemy — my, przyjaciele dzieci — tak dokumentnie zakłócać i obryzdać, że może wręczcie jeden petak z drugim zakłanie soczycie, splunie jak kowboj i pójdzie na służawkę...

CWIEK